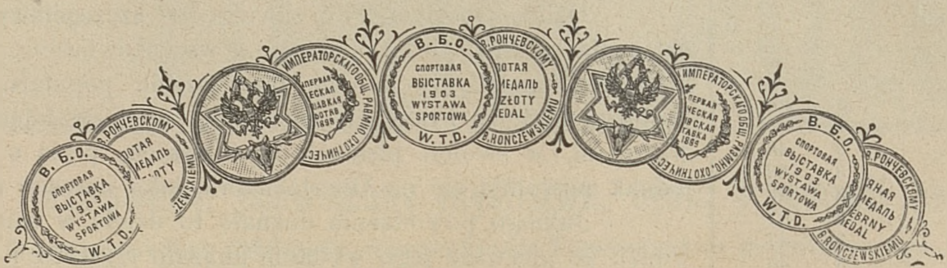
Nr. 23. Warszawa, d. 1 Grudnia 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).



KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W grudniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacya w grudniu.

Pełnia d. 7 o g. 4 po poł.
Ostat. kw. d. 15 o g. 3 po poł.

Wschód i Zachód Słońca

w grudniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	7	49	3	48
2	7	51	3	48
3	7	52	3	48
4	7	53	3	47
5	7	54	3	47
6	7	55	3	46
7	7	57	3	46
8	7	59	3	45
9	8	1	3	45
10	8	2	3	45
11	8	3	3	44
12	8	4	3	44
13	8	5	3	43
14	8	6	3	43
15	8	7	3	43



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 233.

Nr. 23.	Warszawa, d. 1 grudnia 1908 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok X.



ODYNIEC.

JAN SZTOLCMAN.

PTAKI DRAPIEŻNE DZIENNE
kraju naszego.

(Ciąg dalszy).

Sokoły *(Falcones).*

Z pomiędzy wszystkich ptaków drapieżnych, żadna grupa nie łączy w sobie cech swej „drapieżności“ w takim stopniu, jak sokoły. Można śmiało powiedzieć, że przedstawiciele tej rodziny dopięli największej doskonałości w budowie różnych organów w zastosowaniu do sposobu życia tych ptaków. Wszystko w nich znamionuje siłę, zręczność, bystrość lotu, a odwagą swoją przewyższają niewątpliwie inne grupy wielkiej gromady drapieżników dziennych. Sokoły — to najdoskonalszy typ ptaka, karmiącego się żywą zdobyczą, do pozyskania której wymaga się siły mięśni, szybkości lotu, zwrotności, silnego dziobu, potężnych pazurów, a z punktu widzenia charakteru — odwagi, oraz zdolności szybkiej oryentacyi.

Spójrzmy tylko na budowę ich ciała. Cały korpus jest zwięzły, pierś dzięki silnie rowiniętemu mostkowi — wypukła, głowa średniej wielkości, opatrzona krótkim, mocno zakrzywionym dziobem. Na górnej szczęce widzimy wycięcie w kształcie zęba, czego nie spotykamy u innych drapieżników. Temu wycięciu odpowiada ząbek w dolnej szczęce, czyli żuchwie. Nogi są względnie krótkie, ale silne, o palcach bardzo wydłużonych, z których środkowy jest znacznie od innych dłuższy. Pazury są długie, mocno zakrzywione i nadzwyczaj ostre. Skrzydła bardzo długie i ostre, co zawsze znamionuje bystrość lotu. Ogon średniej długości, wązko się składający. Upierzenie sztywne, do ciała przylegające.

Te cechy występują najjaskrawiej u sokołów szlachetnych, nazwanych tak dla wyróżnienia od grupy sokołów podłych, czyli sokolików, na jakie to dwa skupienia rozpada się ta gromada ptaków drapieżnych. Pierwsze z nich polują przeważnie na ptaki, które w lot łapią, męcząc je pogonią i uderzając z góry. Drugie łowią małe ptaszki, myszy, owady i t. p. Niemniej jednak i te sokoły podłe mają w swych ruchach wiele szlachetności i w miniaturze przypominają swych szlachetnych współrodzajowców.

Lot sokołów jest imponujący. Sokoły szlachetne lecą zwykle, poruszając skrzydłami, a w wyjątkowych tylko wypadkach „pływają“ bez poruszenia skrzydeł. Mogą przytem przelatywać ogromne przestrzenie bez najmniejszego zmęczenia. Najwięcej jednak w zdumienie wprawiają nas ich ruchy przy atakowaniu zwierzyny. Wówczas ptak rzuca się z taką szybkością na swą zdobycz, że niepodobna jest rozróżnić jego kształtów, a skrzydła sprawiają wtedy silne warczenie, które o kilkadziesiąt kroków słyszeć można. Sokoliki latają wogóle mniej szybko, często unoszą się bez poruszenia skrzydłami, trzepią się na jednem miejscu, wypatrując ofiary do zdobycia. Lecz i one rozwijają niekiedy szybkość niepoślednią.

Brehm się myli, utrzymując, że sokoły trzymają się przeważnie w lasach. Mogą tam zalatywać na nocleg, lub przebywać czas dłuższy podczas lężenia. Ale właściwym żywiołem tych ptaków są miejsca otwarte, — pola uprawne, łąki, stepy, nawet pustynia. Sam rodzaj ich życia, sposób łowienia zdobyczy wskazuje, że tylko na miejscach otwartych mogą działać należycie, bo tutaj są w stanie rozwinąć w całej pełni swe przyrodzone zdolności; tutaj dopiero ich wzrok przysłowiowy ma pole do wykazywania swej potęgi, a bystrość lotu nie znajduje żadnej przeszkody. Wszak w rozległych lasach Peruwii nie spotkałem nigdy sokołów; a przeciwnie, na górnych piętrach Kordylierów, w rejonie pastwisk alpejskich, stale przebywa kilka ich gatunków. Wszak i nasz sokół wędrowny oddaje się łowom w otwartych miejscowościach i tu głównie przebywa, a tylko na porę lęgową do lasów ściąga, lecz po to tylko, aby tam swe gniazdo w bezpiecznem miejscu, na czubku wysokiego drzewa założyć; na polowanie zaś wylatuje do miejsc otwartych.

Właściwemi porami żerowania sokołów w ciągu dnia jest poranek i czas przedwieczorny. Resztę dnia spędzają nieruchomie na wyniosłym jakim punkcie, skąd wzrokiem objąć mogą całą okolicę. Siedzą wtedy spokojnie, z piórami najeżonemi, drzemiąc w słodkiej syeście. Niektóre z nich oddają się jeszcze łowom o zmierzchu.

Sokoły szlachetne łowią zwykle swą zdobycz w locie; wiele z nich nie jest w stanie wziąć ptaka siedzącego. Zdobytą ofiarę odnoszą zwykle w bezpieczne miejsce i tutaj, oskubawszy częściowo, pożerają. Padliny nigdy na swobodzie nie ruszają.

Ptaki te są do pewnego stopnia towarzyskie. Normalnie trzymają się parami; gdy jednak pora przelotów nadchodzi, łączą się nieraz w dość znaczne stada, wędrując wspólnie w ciągu tygodni, a nawet miesięcy całych. Godną zaznaczenia jest ich nienawiść do orłów i do sów, która się manifestuje upartem atakowaniem tych drapieżników.

NA FARBOWIKI.

(Dokończenie).

Zdanowski zjawił się nie sam: ciągnął za grzywę szarą, chudą szkapę. Zdziwiłem się, bo nie wiedziałem, dlaczego bierze konia — wszak cietrzewie mieszkały tuż w „mszarynie“ za wsią*).

— Ja nie myślał, że wy tak rano... — ozwał się Zdanowski, zręcznie wskakując na konia, — ruszyliśmy krokiem. Pogoda taka... ot — ciągnął dalej — cieciеruków wczora widziałem i starkę ja słyszał; — jeden tak siedział na brzozy i na mnie patrzał — ysz, jaki! nie boi się człowieka — musi już za to, że nie strzelane. A pies dobry? ja myślę, powinien dobrze chodzić taki poncier!

— Na polu dobrze chodzi — w lesie gorącuje się.

— Aha. A jak jego zwać?

*) Mszaryna, mszar, mech, — bagno porosłe mchem i karłowatą sośniną.

— Aj Bekas, dobry Bekas, popatrzym, co ty potrafisz! — mówił Zdanowski, oglądając się na Bekasa.

I oto ujrzeliśmy mszar przed sobą w dole. Zjechaliśmy więc trochę z drogi i przywiązaliśmy naszego konia w gęstej olszyncе. Zdanowski odjechał dalej i spętał swego na łączce. Weszliśmy, milcząc, do mchu. Mizerne, nizkie sosenki smutnie sterczały z żółtego, gdzieniegdzie czerwonawego mchu; gęsto między niemi świeciły w słońcu, jak gwiazdy, wielkie, obciążone rosą, koliste pajęczyny; z pod gąbczastego mchu często odzywała się woda, wyciśnięta naszemi stopami. Od czasu do czasu uderzał nas przenikliwy, odurzający zapach zdeptanego bahunu **). Szliśmy pomału, rzędem. Bekas chodził krótkim galopem, często stukając ogonem w sosenki, niekiedy zwalniał biegu i wąchał z wielkiem zajęciem mech, lub zadzierał nos do góry. Fuzye mieliśmy gotowe do strzału, bo mało znajomy z cietrzewiami, pies, łatwo mógł je spłoszyć. Doszliśmy pomału do środka mszaru. Sosenki zrzedniały i ukazała się mała polanka, pokryta, jakby ciepłym kożuchem, żółtym, nasiąkniętym wodą mchem.

**) Bagno, roślina błotna (ledum palustre).

Sokoły gnieżdżą się stosownie do miejscowych warunków, już to w rozpadlinach i po gzemsach skał, już to na wysokich drzewach, na wieżach i basztach, a w okolicach, gdzie takich bezpiecznych miejsc nie znajdują, jak np. w Rosyi północnej, ścielą swe gniazda wprost na ziemi. Niekiedy zajmują gniazda innych większych ptaków, jak np. kruków. Gniazdo budują sokoły niedbale z gałązek luźno narzuconych i tylko samo zagłębienie na jaja wyścielają miększymi korzonkami. Jaja ich są krótkie, kuliste, o skorupie chropowatej, zwykle koloru rdzawego z ciemniejszem uplamieniem. Wysiadywaniem zajmuje się wyłącznie samica, a małżonek przez ten czas ponosi całe trudy karmienia jej. Natomiast wychowanie młodych odbywa się wspólną pracą obojga rodziców, którzy je karmią, pielęgnują i bronią od napaści nieprzyjaciół.

Pod względem rozmieszczenia swego na powierzchni ziemi sokoły zajmują cały obszar naszej planety, od lodowych krain Północy, aż po najgorętsze strefy zwrotników, od nizkich równin nadmorskich, do wyniosłych szczytów górskich. Każda część świata posiada sobie właściwe gatunki. Tak obszerne rozmieszczenie sokołów da się łatwo wytłómaczyć bystrością i wytrzymałością ich lotu, który pozwala tym ptakom zajmować najniedostępniejsze posterunki.

Sokół w ekonomii przyrody odgrywa tę samą rolę, co szczupak w wodzie: powstrzymuje zbytnie rozmnażanie się pewnych gatunków. Łatwo jest wszelako zrozumieć, że te z nich, które się żywią kuropatwami, dzikiemi kaczkami, przepiórkami, zającami, oraz inną zwierzyną, są nader szkodne dla gospodarstw łowieckich i winny być starannie przez straż leśną i polową tępione. Do najszkodniejszych należą wszystkie sokoły szlachetne, ale i z pomiędzy sokolików niektóre na tępienie zasługują, jak np. drzemlik i kobuz. Inne znów, jak pustułka, pustułeczka i sokolik rdzawonogi, wyświadczają człowiekowi znaczne usługi tępieniem myszy, polników i szkodliwych owadów, i tę powinny się cieszyć ochroną rolników i myśliwych.

Człowiek potrafił wyzyskać zdolności sokoła w braniu zwierzyny i stworzył tym sposobem całą gałąź łowiectwa, zwaną sokolnictwem. Początek łowów z sokołem ginie w pomroce wieków; można jednak przypuszczać, że pierwsze oddawały się im ludy azyatyckie, a od nich przeszły do Afryki i Europy. Według Lenza Ctesias widział tresowane sokoły u Indyan jeszcze w 480 roku przed Chrystusem. W Europie łowy z sokołami wprowadzone zostały z początkiem ery chrześciańskiej, ale na dobre rozpowszechniać się zaczęły podczas wojen krzyżowych i wkrótce stały się ulubioną rozrywką możnych tego świata. Polowali z sokołami cesarzowie niemieccy, królowie angielscy, francuscy, polscy, carowie ruscy. Niektórzy z nich wydawali znaczne sumy na cele sokolnictwa. Tak np. Franciszek I, zwany ojcem myśliwych, utrzymywał nadintendenta sokolnictwa, czyli wielkiego sokolnika, który pobierał olbrzymią już na owe czasy pensyę 4000 liwrów. Funkcyonaryusz ten miał pod sobą 15 szlachty z płacą 500 do 600 liwrów rocznie i pięćdziesięciu sokolników z pensyą 200 liwrów. Sokolarnia tego monarchy liczyła 300 sokołów.

U nas sokolnictwo było w dawnych czasach bardzo rozwinięte. Ciekawe szczegóły znajdą czytelnicy w klasycznej pracy Kazimierza Wodzickiego p. t. „Sokolnictwo“, z którego głównie czerpałem dane do artykułu mego, drukowanego w pierwszym roku istnienia naszego pisma. Nie chcąc się powtarzać, wymienię tylko, że najbardziej cenionym gatunkiem w sokolnictwie był sokół białozór *(Hierofalco candicans)*, potem szedł sokół norweski *(Hierofalco norvegicus)*, po nim nasz krajowy raróg *(Hierofalco saker)*, a na końcu dopiero nasz sokół wędrowny *(Falco peregrinus)*.

(C. d. n.)

W sprawie odpiłowywania rogów.

(Dokończenie).

Aby zachować rogi z czaszką, przerywa się połączenie czaszki z karkiem tuż za kością potylicową. Ponieważ łuska kości potylicowej, służąc za miejsce przyczepu potężnemu więzadłu karkowemu *(ligamentum nuche)*, dość ostro się kończy, łatwo więc palcami ją wyczuć (p. na fig.).

Następnie, jeżeli się odejmuje głowę np. jelenia dla ułatwienia transportu, o ile się tego procesu, który opiszę, nie przeprowadza na miejscu, można rogi odpiłować pojedynczo, tuż pod różą i naznaczyć dokładnie nieznacznem nacięciem na brzegu równocześnie móżdżeń i pień rogu, lub w jaki inny sposób położenie jego względem móżdżenia, aby potem, gdy się rogi napowrót za pomocą śrób na móżdżeniach umocuje, położenie swoje względem móżdżeni zatrzymały. Jest to rzecz dość mozolna, w ten sam sposób rogi przykręcić, jak były u żywego zwierzę-

---

— Tu ich nie będzie, — ozwał się Zdanowski. — Ot, pójdziem lepiej na prawo, tam na brzegu rośnie brzezina i pole niedaleko. Ja raz widział, jak starka i dzieci tam pod wieczór żyrowali — pójdziem!

Poszliśmy na prawo. Miejsce było naprawdę dla cietrzewi doskonałe: pomiędzy młodemi brzózkami a łozą rosła na mchu długa, cienka trawa, szczawik czerwony i inne błotne rośliny; za małą, jeszcze nie skoszoną łączką, widać było już złoty łan owsa.

Napróżno! ani Bekas, ani my trzej cietrzewi znaleźć nie mogliśmy, — spostrzegłem tylko pozostawione na kępie pióro ze skrzydła — znak, że cietrzewie tu bywały.

— Jeżeli teraz ich na ostrowie nie będzie, tak nie wiem, co myśleć! Gdzież oni... się podzieli? Starka wyprowadzić ich nie mogła. Już ja wiem, że oni na ostrowie — mówił Zdanowski — jakto może być, żeby ni jednego farbowika nie zastrzelili!

Zawróciliśmy na ostrów. Był to niewielki pagórek wśród mszaru, rosły tu gęsto młode osiny, brzózki, podszyte kolącymi krzakami jałowca i lasem pojedyńczych paproci. Jak tylko podeszliśmy do ostrowu, w tej chwili poznałem, że cietrzewie tu są, albo tylko co były: Bekas raptownie rzucił się naprzód, zakręcił na miejscu i w szalonym pędzie zaczął przekładać, za co mu zaraz przyrzekłem sowite lanie, jeśli się nie uspokoi. Posuwaliśmy się z wielką ostrożnością, gotowi do strzału, poprzedzani wzruszonym, lecz trochę spokojniejszym Bekasem. Tym razem mieliśmy przed sobą całe stadko. Nagle coś się zatrzepotało i między drzewami mignęły białe plamy na skrzydłach. Wicio więcej odemnie wysunięty naprzód, schylił się, strzelił, skoczył w bok, znów strzelił.

— Jest?

— Jest! jeden młody.

— Brawo! — Nie zdążyłem spojrzeć w jego stronę, bo wprost na mnie leciał z hałasem drugi cietrzew; wziąłem go na cel, gdy był tuż nad głową i piękny kogutek, bijąc skrzydłami, padł mi pod nogi, trafiony całym nabojem w łebek.

Ochłonęliśmy trochę, Bekas z zadowoleniem oglądał zabite sztuki. Zdanowski zauważył podczas strzelaniny, że starka, do której Wicio strzelał z prawki, uszła cało, dwa młode zaś, przez nas nie zauważone, uciekły w głąb mszaru. Ponieważ, jak zapewniał nasz przewodnik, w stadku było przynajmniej ośm młodych „ciecieruków“, więc reszta musiała się przyczaić w krzakach — zaczęliśmy zatem „wycierać“ ostrówek. I znowu z mej ręki padły dwa farbowiki. Do trzeciego Wicio spudłował (le-

cia, i dlatego nie należy znaczenia na brzegach lekceważyć. Takie odpiłowywanie pojedynczych pni ma tę zaletę, że pozwala zważyć osobno każdy pień, a takie zapiski mogą dać także ciekawe rezultaty przedewszystkiem u gatunków, noszących ciężkie wieńce.

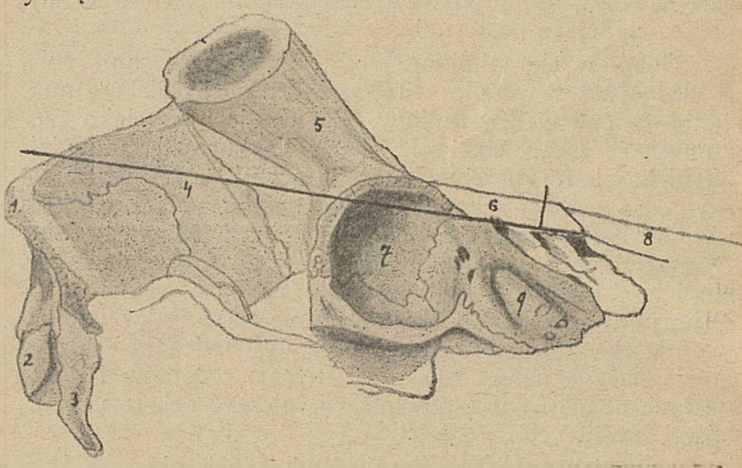
Mając w ten sposób odciętą głowę z rogami lub bez nich, gdy się je osobno odpiłowało, należy ją uwolnić od skóry, mięsa, etc., wogóle od części, któreby mogły uledz gniciu. W tym celu nigdy nie należy czaszki gotować w wodzie, jak to się zwykle robi, gdyż kość z powodu tłuszczu, który się przy gotowaniu rozpuszcza i wsiąka w nią, nie będzie nigdy miała tej łagodnej bieli kości słoniowej, lecz wkłada się ją do zimnej wody; jeżeli są rogi, to tylko po róże i tam mięso i wszelkie części miękkie gniją. Jednem słowem, poddaje się głowę maceracyi. Długość tego procesu zależy od temperatury. Jeżeli jest sposobność, najlepiej jest macerować w płynącej wodzie. Po kilku dniach maceracyi zwykle skóra daje się łatwo zdjąć. O ile się tego nie robi w płynącej wodzie, zmienia się wtedy wodę i napowrót wkłada do niej czaszkę. Następnie zmienia się ciągle co kilka dni wodę i próbuje przytem, czy mięso i chrząstki są już dostatecznie zmacerowane. Jeżeli to już nastąpiło, oczyszcza się czaszkę aż do kości najdokładniej. Mózg wyjmuje się kawałkami przez wielki otwór czaszki na kości potylicowej, między kłykciami położony *(foramen magnum)*, zakrzywioną łyżeczką. Oczyszczoną czaszkę ustawia się na słońcu na miejscu przewiewnem, aż wyschnie. Potem delikatnym *„glaspapierem“* ogładza się kości, przez co nabierają one wyglądu i połysku kości słoniowej.

Czaszki wygotowane w wodzie, można jeszcze wybielić w ten sposób, że wprzód usuwa się tłuszcz, którym kość nasiąkła, za pomocą eteru lub amoniaku, a następnie bieli się kość wodą utlenioną $H_2 O_2$. Najkorzystniej naturalnie macerować w wodzie zimnej, ale jeżeli ktoś na każdy sposób chciałby się prędko z tem załatwić, to lepiej jest wygotowywać w węglanie amonowym.

Wspomnę tu jeszcze o dwóch ciekawych manipulacyach. Niektórzy wycierają końce rogów glaspapierem, aby nadać przez to wieńcom wygląd mocniej interesujący. Jest to sposób, zapomocą którego rogom, dopiero co obdartym ze skóry, nadaje się barwę normalną. Smaruje się taki róg wywarem kory dębowej lub olchowej, albo też słabym roztworem nadmanganianu potasu, a następnie przez ogładzenie *glaspapierem* można i chropawość takich rogów usunąć i nadać im połysk sztuczny. Mainpulacye te, jako zmieniające wygląd naturalny, faktyczny, godne handlarzy, stanowczo potępić należy.

Jeżeli ktoś nie ma cierpliwości preparować całą czaszkę z rogami, a nie może albo nie chce poświęcić trochę pieniędzy na jej preparowanie, to może odjąć tylko rogi wraz z kością czołową. Jest przytem regułą, za którą i kucharz czasem oberwie, że kości się nie rąbie i z dawnym obyczajem stanowczo tym razem zerwać musimy. Kość, jako materyał kruchy, przy rąbaniu pęka, a odrąbywanie rogów już niejeden ładny wieniec oszpeciło. Najlepiej jest kość odpiłować i to małą piłką, jakiej używa się zwykle do kości, albo wprost piłeczką ogrodniczą. Dobrze jest wprzód nożem naznaczyć poziom przepiłowania. W tym celu nacina się u jelenia skórę trzy palce poza możdżeniami u tyłu głowy (u rogacza 1 i pół do 2 palców), a potem prowadzi się nacięcie bokami w poziomie mniej więcej równoległym do kości czołowej popod górne brzegi oczodołów aż poza oczy. Potem drogę tę przebiega piłka, a minąwszy oczy, piłkę się wyjmuje i przepiłowywuje w poprzek kość czołową, przez co uwalnia się rogi od połączenia z czaszką. Przy takiem odpiłowaniu oddziela się mniej więcej całą kość czołową. Lepiej jest zawsze naturalnie odpiłować za dużo, niż za mało. U odjętej kości czołowej obcina się brzegi i wyrównuje następnie już wedle gustu zupełnie osobistego.

Dla jaśniejszego przedstawienia rzeczy zamieszczam rycinę.



Kość czołową przy wieńcach zupełnie w ten sam sposób, jak opisałem poprzednio, maceruje się i suszy się na słońcu.

Kilka słów jeszcze dodam o zachowywaniu rogów, pokrytych jeszcze skórą, gdyż, niestety, czasem i takie się „zdarzają“ i trzeba je jakoś zachować. Przepis ten jest wyjęty z 4-go tomu L. Martina „Weidmann“. Otóż na grubych i tępych końcach rogów nakłówa się skórę ostrym scyzorykiem aż do kości. Następnie wkłada się

---

ciał podobno strasznie prędko), a czwarty uciekł nam niestrzelany. Długo jeszcze błądziliśmy po mchu i każdy z nas zastrzelił jeszcze po farbowiku. Pod koniec Bekas się ustatkował, zrozumiał, że porządnemu wyżłowi hałasować w lesie się nie godzi, ostatniego cietrzewia znakomicie wystawił, podejmując tylną łapę i szczęśliwie doprowadził. Mieliśmy zatem sześć pysznych cietrzewi w torbie. Pozostałym wspaniałomyślnie darowaliśmy życie i wracaliśmy do koni, wesoło gawędząc. Już byliśmy niedaleko, gdy nagle rozmowę przerwał farbowik, który z łopotem wyleciał nam prawie z przed nosa. Zerwaliśmy strzelby i dwa strzały zlały się w jeden grzmot. Cietrzew padł na miejscu. Czyj strzał go powalił?

— Ja dobrze celowałem — rzekł Wicio — wszystko równo, jak wpadł do torby, to i dobrze.

— I prawda — potwierdził Zdanowski; to rzekłszy, pożegnał się z nami, do wsi bowiem nie wracał, miał, widocznie, robotę w polu. Dziękowałem mu bardzo za pomoc.

— Niema za co — odparł, gładząc Bekasa — i ja dziękuję, — kużden raz ja gotów pomagać, tylko przyjeżdżajcie.

Po chwili dodał:

— Żeby ten pies był u mnie, ot jaby jego na cietrzewie nauczył!... Oj, pies dobry, za to, że gatunkowy.

Koń ruszył, „Staśka“ patrzał za nami. Spojrzałem w dolinę, na pole bitwy. Dym, zamiast się unieść i rozwiać, ciężko opadł i szeroką, gęstą ławą leżał na łączce, zatapiając część mszaru. Dziwnie wyglądały z białego, jak mleko, dymu, zielone korony smutnych sosenek; wracaliśmy pomału, — nie było się czego śpieszyć. Słońce już stało wysoko na czystem, jak łza, niebie. Wiatru nie było i las milczał, skamieniały — odzywały się tylko od czasu do czasu małe ptaszki leśne i głucho bzykały koniki polne. Muchy i grube bąki, naprzykrzonym rojem unosiły się nad koniem. Słońce lipcowe zaczynało nie na żarty dopiekać.

W lesie opuściłem Wicia i wracałem do domu krótszą drogą — dobrze mi znajomą, wązką ścieżką.

Antoni Römer.

rogi do wody, nasyconej równemi ilościami ałunu i soli kuchennej. Kąpiel ta, trwająca kilka do kilkunastu dni, nadaje miękkim miejscom rozwijającego się dopiero rogu pewnej twardości. Za długo trwająca kąpiel nigdy nie szkodzi, trzeba tylko dodawać po troszce ałunu i soli. Wyjąwszy rogi z roztworu, wymywa się sól z włosków wodą, suszy się je i szczoteczką włoski posklejane do zwykłego wyglądu przyprowadza. Aby uchronić takie rogi przed napaścią owadów, można włoski pociągnąć słabym roztworem sublimatu.

W końcu jeszcze raz powtarzam, że przy zachowywaniu, czy to całej czaszki z rogami, czy też tylko rogów, nigdy nie należy zapominać, że dokładne notatki o wielkości, wadze zwierzęcia, o rewirze etc., są nieodzownemi, jeżeli chodzi o poważną kollekcyę.

Lwów, 30 października 1908 r.

E. Schechtel.

Z przyjemnością drukujemy powyższy artykuł, w którym kwestya tak ważna, jak konserwacya trofeów myśliwskich, jest traktowaną z punktu widzenia naukowego. W jednym tylko szczególe nie możemy się zgodzić z Szanownym Autorem, a mianowicie tam, gdzie chodzi o odpiłowywanie rogów od móżdżeni, czyli „pieńków". Ułatwia to może transport i pozwala na zważenie każdego pnia z osobna. Ale za to nie będziemy nigdy w stanie nadać rogom właściwego ich nachylenia, gdy je zapomocą śrób na móżdżeniach umocujemy; a powtóre autentyczność samych rogów zostaje obaloną, bo nigdy niema wtedy pewności, czy rogi znajdują się na oryginalnej czaszce, a nawet czy oba pnie pochodzą od jednego osobnika i czy przynajmniej są współczesne. Według nas, rogi odpiłowane tracą nietylko wartość handlową, ale i naukową.

Redakcya.

Z tegorocznych rykowisk.

We wrześniu.

Od dwóch dni jestem w leśniczówce, położonej wśród lasów dóbr Przysucha i przez cały ten czas jest ciepło, parno, czasami tylko przechodzi drobny deszczyk. Codziennie rano i wieczorem punktualnie jestem w lesie, ryku jednak nie słychać. Rozpacz mię ogarnia. Zdaje mi się, że jelenie wcale ryczeć nie będą lub że wyniosły się w zupełnie inne strony.

Nareszcie 26 września wieczorem zaczęło się wypogadzać, pokazały się gwiazdy, a ranek 27 w niedzielę był chłodny i pogodny. Nadzieja usłyszenia ryku wstąpiła we mnie na nowo, o trzeciej rano byłem już ubrany i zaledwie odszedłem od leśniczówki ze dwieście kroków, kiedy wyraźnie zacząłem rozróżniać ryk kilku jeleni w rozmaitych stronach lasu.

Długą chwilę stałem w miejscu, wsłuchując się w te silne, groźne, a tak przyjemne dla ucha myśliwego głosy, rozróżniałem grube, chropowate głosy starych byków i cieńsze młodszych; oceniałem podług słuchu odległość, w jakiej odemnie być mogły, wreszcie zdecydowałem się podchodzić jednego, który odzywał się dość często, głosem grubym i, jak mi się zdawało, musiał być nie zbyt daleko. Miałem pewność, że byk ten znajduje się pomiędzy mną a sąsiadującą z lasami wioską włościańską, z której dochodziły odgłosy muzyki, a skoczne tony oberka dziwnie mieszały się z grubym rykiem byka.

Było jeszcze zupełnie ciemno, miałem więc dosyć czasu, podchodziłem powoli i ostrożnie. Byk ryczał początkowo dość silnie, w miarę jednak zbliżania się wschodu słońca ryk stawał się cichszy i krótszy, nareszcie ucichł zupełnie.

Stałem spokojnie oparty o dąb, czekając na ponowny ryk. Byłem zupełnie pewny, żem byka nie spłoszył; podchodziłem pod wiatr, bardzo cicho i musiałem od niego być jeszcze dość daleko, miałem więc nadzieję, że ryk się powtórzy. Panowała jednak wszędzie głęboka cisza, słychać tylko było z oddalenia muzykę we wsi, wreszcie i ta ustała; widocznie zebrane towarzystwo zaczyna się rozchodzić, w czystem, rannem powietrzu słychać wyraźnie głosy pożegnania i z bocznej gdzieś dróżyny ostatnie nawoływanie:

— Kasiu, poczekaj — i cichszą odpowiedź:

— Hale, będę ci tam stojała...

Wreszcie zapanowała zupełna cisza.

W miejscu, jak skamieniały, stoję spokojnie, wytężam tylko słuch, czy gdzie jakiego pomruku nie posłyszę, ale wszędzie absolutna cisza. Tymczasem dzień robić się zaczyna. Początkowo z nocnej pomroki krzewy i drzewa wyłaniają się w fantastycznych kształtach, w chwilę później rozróżniam już kontury pni...

Wtem słyszę szelest suchych liści dębowych i widzę zbliżającą się jakąś sztukę; wydaje mi się jednak małą i siwą. Podchodzi tak blizko, że pomimo zmroku poznaję rogacza, z ładnymi, wysokimi różkami, za bardzo jednak między sobą zbliżonymi. Spostrzegł mnie i w kilku susach ginie w gęstwinie.

Robi się widno. W paru miejscach odezwały się cietrzewie, czanchają, a nawet próbują grać, choć jakoś bełgotanie nie idzie im gładko. Znać, że to nie toki wiosenne.

I znowu słyszę szelest liści. Odwracam ostrożnie głowę — z lewej strony podchodzące ku mnie dwie łanie; idą ostrożnie, nasłuchując; stanęły o trzydzieści kroków i widzę, jak pierwsza nastawia ogromne swe łyzny, to w jedną, to znów w drugą stronę, pociąga nozdrzami, rozgląda się, a jednak mnie nie widzi. Przypatruję się długo i mam wrażenie, że ta piękna połowa rodzaju jeleniego jest stanowczo brzydką. O ile byk jest imponujący i wspaniały, o tyle łania niezgrabna, a swym wyglądem bardzo przypomina oślicę. Stoją długo. Ja nie poruszam się w przypuszczeniu, że może za łaniami i byk pociągnie; wreszcie przechodzą około mnie, o jakie dziesięć kroków, widzę je długo kołujące się po porębie, wreszcie giną mi w dużym lesie.

Długo jeszcze stałem na miejscu, ale ryku nie słyszałem już wcale i znów bez strzału wróciłem na leśniczówkę.

Nie zraziłem się jednak niepowodzeniami. Pomiędzy 4-tą a 5-tą godz. po południu, ze sztucerem na ramieniu dążyłem w to miejsce, gdzie, jak mi się zdawało, ostatni raz słyszałem ryk byka. Byłem jeszcze oddalony od tego miejsca o jakie trzysta kroków, gdy naraz usłyszałem krótki, ale gruby i dość blizki ryk. W około miałem las dębowy, gęsty, a pozostałe na drzewach suche liście zasłaniały mi dalszy widok. Momentalnie przyklęknąłem na jedno kolano i w kierunku słyszanego ryku, w większej luce, pomiędzy pniami drzew ujrzałem przebiegającą łanię, w dość znacznej jednak odległości. Trzeba się było śpieszyć, o nałożeniu na sztucer lunety, którą miałem przy sobie, nie można było już myśleć. Szybko naciągnąłem szneller i skierowałem broń w tę stronę, gdzie przed chwilą przebiegła łania. W tej samej chwili usłyszałem nowe ryknięcie, przeskoczyła przez lukę druga łania, a za nią pokazał się ciemny, duży, wspaniały byk. Luka była wązka, śpieszyłem się bardzo i w chwili strzału czułem, że może nieco zawcześnie nacisnąłem szneller. Miałem obawę, że mogłem zgórować

Po strzale w gęstwinie powstał ruch i łomot, około mnie w powrotnym kierunku przebiegło kilka łań i jakiś szóstak, czekałem jednak spokojnie, czy nie wróci byk, do którego strzelałem, aby poprawić mu z drugiej lufy expressu, ale nie widząc go nigdzie, założyłem w miejsce wystrzelonego nowy ładunek i postanowiłem sprawdzić rezultaty strzału.

Ponieważ w gęstym lesie, dość jednakowym, łatwo jest stracić miejsce, w którem się zwierza strzelało, oceniłem więc odległość na oko na dwieście kroków, a następnie, nie spuszczając oka z luki, w której byka strzela-

łem, idąc w prostej linii, rachowałem kroki. Po odmierzeniu stu ośmiudziesięciu wszedłem na małą polankę, w której końcu o dziesięć kroków na prawo spostrzegłem leżącego, ogromnego byka. Podszedłem bliżej, aby obejrzeć miejsce uderzenia kuli: przyszła na wysoką łopatkę, trochę za wysoko i nieco za bardzo ku tyłowi. Gdym się zbliżył, byk podniósł głowę, ale ruszyć się nie mógł i ciężko nazad opadł. Miałem z sobą nóż myśliwski, jednak nie umiem i nie smakuję w dobijaniu zwierzyny nożem. Chcąc przyśpieszyć koniec, z odległości dziesięciu kroków strzeliłem w środek szyi byka. Po strzale wyprostował nogi, zesztywniał, głowa mu opadła i przez jakie dziesięć minut, jakie przy nim stałem, nie poruszył się wcale.

Ponieważ przy upadku jeden z rogów zarył się głęboko w mech, przeto chcąc się lepiej przyjrzeć rogom, podszedłem do jelenia z tyłu, uniosłem mu nieco głowę i wydostałem na wierzch rogi. Był to silny dziesiątak, gruby, na krótkich nogach, cały ciemny, z grzywą prawie czarną, z rogami prawidłowymi, wysokimi, czarnymi, ładnie uperlonymi, może tylko nieco ciężkimi w stosunku do wielkości byka.

Byłem oddalony od leśniczówki o jakie półtory wiorsty. Ponieważ wieczór się zbliżał, poszedłem z powrotem, aby wysłać furmankę i ludzi. Kiedyśmy powrócili, słońce już zachodziło, jakież jednak było moje zdziwienie, gdy byka na miejscu nie znalazłem. W pierwszej chwili przypuszczałem, że znaleźli się usłużni ludzie, którzy byka w czasie mej godzinnej nieobecności uprzątnęli, ale ślady na mchu, obfita farba, którą znaczył, wskazywały, że podniósł się sam i poszedł w gęste krzaki dębiny. Tropienie było łatwe, ale noc zapadała i musieliśmy pozostawić postrzałka, pocieszając się tylko nadzieją, że na drugi dzień łatwo go znajdziemy. Tymczasem w godzinę po przyjeździe do domu zaczął padać deszcz kroplisty, który przeszedł następnie w ulewę, trwającą parę godzin. Nad ranem dopiero wypogodziło się.

Nie mogłem w nocy usnąć i ledwie świtać zaczęło, byłem już na miejscu. Deszcz jednak zmył farbę, a na mchach żadnego śladu widać nie było. W takich warunkach odszukanie postrzałka stawało się trudniejszem; przyszedł mi jednak z pomocą strzelec miejscowy, który przyprowadził z sobą „tropowca". Piesek ten, prowadzony na rzemieniu, odnalazł trop od razu, szedł bardzo dobrze i równo, a powstrzymywany rzemieniem, posuwał się naprzód prawie na dwóch łapach. Rychło też doprowadził nas do jelenia. Ten psina mały, czarny, kudłaty, niepokaźny, który obowiązek swój spełnił tak dokładnie, arystokratą żadnym nie był, rodowodów nie miał, przyszedł na świat na swojskich śmieciach; matką była mu jamnica, a ojcami pudel i owczarek.

O ile z praktyki swej sądzić mogę, przytoczony wypadek z postrzałkiem, jest wyjątkowy, strzelałem bowiem ze sztucera Henela, kaliber 11, ładunkami długimi trzy czwarte, w pancerzu niklowym. Z broni tej strzelam od lat kilku i zawsze, czy to przy strzelaniu jeleni, czy też dzików, miałem rezultaty doskonałe.

W dwa dni później, na rykowisku, strzeliłem z tegoż sztucera, przez lunetę, na dwieście pięćdziesiąt kroków, bardzo grubego byka i jedna kula w zupełności wystarczyła.

January Władysław Starzyński.

Broń myśliwska przed 100 laty w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Uwagi nad strzelaniem.

Do ptactwa lecącego przeciwko myśliwemu w którąkolwiek stronę, celować w przód dziobu, a do zwierzyny w głowę: lecz nim pociśnięty będzie cyngiel i wystrzał nastąpi, celą zawsze po przedmiocie prowadzić. Chociaż wielu strzelców nie pilnuje się tego, rozumiejąc, że to niewiele albo nic zgoła nie wpływa na pewność strzału; przeciwnie jednak najmniejsze utrzymanie ręki ciągnie za sobą opóźnienie wystrzału, które będzie tem większe, im fuzya gęściej bije. Toż samo się dzieje i z zającem w biegu, szczególniej w mecie dalekiej; szrót trafiłby tylko tylnych skoków.

Gdy leci ptak w linii prostej od strzelca, rzadko strzał bywa chybiony, a tem więcej gdy nabój szrótu uderzy w linii lecącego ptaka. Do zająca, lisa i t. p. powoli na sztych biegącego, celować w piersi, do prędko zaś zmykającego––w przednie pośladki. Do ptactwa zrywającego się, raczej w górę, niżeli w dół. W czasie zrywania się ptaka, jeżeli ten nie ma miejsca dla poprawienia chwiejącego się lotu, zdarza się często spudłować; lecz w takim razie najwięcej pomaga zręczność i prędkie złożenie się, oraz wprawne, dobre oko.

Strzelając w którąkolwiek stronę do ptastwa lecącego, lub zwierząt w biegu, poznawać potrzeba odległość mety do strzału i stosownie do niej celą prowadzić. Do kuropatwy lecącej w odległości 30 lub 40 kroków, w dziób, albo cokolwiek wprzód jej: toż samo zachować w tej odległości w strzelaniu słomek, kaczek i t. p. Lecz gdy ptak oddalony jest na kroków 60, celować w przód głowy na calów cztery. Toż samo ma miejsce i w celowaniu do zająca odpowiedniem chyżości biegu.

Strzelając w mecie oddalonej, celować trochę wyżej przedmiotu: ponieważ kula, jako i szrót, przebiega prosto tylko do pewnego punktu, a potem w biegu swoim zakreśla linię krzywą. Do zająca przebiegającego w linii prostej od strzelca, celować pomiędzy słuchy: bo inaczej alboby strzał nie trafił, albo nie udałoby się na miejscu jego położyć.

Zręczny i pewny strzelec nie przestaje na przełamaniu kuropatwie lotka, podstrzeleniu zająca w mecie bliskiej, i za pomocą psa ich złowieniu lub wynalezieniu; pragnie on położyć na miejscu bez żadnej pomocy, lub powtórnego strzału: jeżeli to nie jest w mecie dalekiej, i w miejscu niezręcznem.

Przez wprawę, częste i pilne strzelanie, nietylko można przyzwyczaić wzrok do prędkiego poznawania odległości przedmiotu, tak, że za jednem rzuceniem oka będzie wiadoma; szczególniej gdy ptak w miejscu równem i odkrytem przelatuje, farba piór nawet ostrzega myśliwego, jaka może być odległość. Zachowując powyżej przywiedzione uwagi, można pomyślnie i bez pudła strzelać. Do tego znajomość stosowania grubości szrótu do zwierzyny nieodbicie jest potrzebne: albowiem w mecie od 30 do 40 kroków w biegu zwierząt, od 40 zaś do 50 lecącego ptastwa używać szrótu nr. 3 lub 4. Chociaż w 55 krokach można zająca lub kuropatwę ubić na miejscu: jednakże zając strzelony w tej mecie pomienionym numerem szrótu często uchodzi będąc lekko ranionym, a kuropatwa nie wielkiej jest objętości; szrót przeto rozrzucony mija swój przedmiot. Dlatego rzadko się zdarza ubić kuropatwę o kroków 60 lub 70. Jedynym w tym razie warunkiem jest, trafić w głowę choć jedną szróciną. Toż samo ma miejsce w zającu, który nie inaczej może być w tej odległości mocno raniony, tylko jeżeli będzie w łopatkę, pokrytą cienką i natężoną w biegu skórką, strzelony.

Inni, dla prędkiego ułożenia się do strzelania ptastwa w locie, radzą w przód strzelać do jaskółek, lecz że ich lot

jest zbytecznie chyży i nierówny, tudzież wcale do lotu ptastwa, na które się najczęściej poluje, nie podobny; przeto układający się w pierwiastkach znalazłby trudność prędko się przycelować i częstem pudłowaniem straciłby ochotę. Dogodniej jest częściej chodzić w miejsce obfitujące w zające lub ptastwa, jakiemi są słonki, bekasy, kuropatwy, cietrzewie i t. p. Te albo przez się lub wyżłem płoszone strzelać, nie tracąc ochoty dla częstego pudłowania. Jak każda nauka w początkach nie jest przystępna; tak i strzelanie wymaga częstego doświadczenia: a regularne dając naboje i celując się sposobem wymienionym, nie będzie bezskuteczne, gdyby tylko przytomność i sprawność ruchu, jaka jest potrzebna w strzelaniu ptastwa w locie, towarzyszyła. Również niektórzy układają się strzelaniem do wyrzuconego w górę, zwiniętego papieru lub trzaski. Papier wyrzucony na powietrzu unosi się i powoli spada, przeto i dla układającego się w początkach jeszcze łatwiej jest przycelować i trafić. Tak się ułożywszy, łacno trafi i do trzaski prędzej nawet spadającej.

Aby się prędko ułożyć do trafienia zająca w biegu, wprzód strzelać potrzeba w biegające koło z deski wyrżnięte, które im większym impetem na równem miejscu rzucone będzie, tem bystrzejszego oka strzelającego wymaga. Jak do zwierzyny tak i do kółka w jakąkolwiek biegącego stronę, w przód się celnie: gdy idzie powoli, celować w brzeg, jeżeli prędzej i w mecie dalszej na calów 4 przed nim, pociskając cyngiel, ręki nie wstrzymywać, a ciągle w kierunku biegu celując, prowadzić aż do samego wystrzału.

Po wystrzeleniu z fuzyi do 20 razy, należy dobrze rurę wymyć, dlatego potrzeba mieć sztęfel oddzielny, nieco grubszy od zwyczajnego. Z jednego końca zamiast grajcaru narzynają się ząbki na sztęflu, obwijają się lnianemi pakułami stosownie do wylotu fuzyi. Tak przygotowanem narzędziem rurkę wymyć wodą i suchemi pakułami do suchości wytrzeć. Fuzya czysta i od prochu nie nagorzała ostrzej bije i żelazo się nie psuje. Za każdym strzałem, jeżeli niema jakiej przeszkody, rurę, panewkę i krzemień wytrzeć. Krzemień zawsze mieć w porządku, na ołowiu lub skóreczce dobrze osadzony; jedną skałką nie więcej można strzelać tylko dwadzieścia kilka razy, i to gdy jest cienka i dobra. Zresztą fuzya powinna być zawsze ochędożnie utrzymana; bo inaczej strzelający wieleby doznał niewygód; zwłaszcza gdy po długiem chodzeniu, zamiast strzelania, raz ledwie w dzień zdarzonego fuzya skrzesi, albo nie wypali. Ileż przypadków nie bywa z ognistej broni, a tembardziej ze źle utrzymywanej? Należy, zatem zwracać pilną uwagę na nią, a szczególniej na zamek: bo od tego często bierze początek niebezpieczeństwo i dobre strzelanie zależy. Jak po rurze wymaga się, aby dobrze szrót rzucała; tak się równie wyciąga, aby zamek nie był zawodny, i sam przez się nie spuszczający. Zawsze bezpieczny jest, chodząc w kniei, trzymać fuzyę przy zakrzywieniu kolby ręką prawą, a niżej ramienia lewego opierać rurę, trzymając ją do góry; tym sposobem myśliwy od przypadków siebie i innych, co tylko otacza, zastrzeże, i zawsze będzie prędki do strzału w ciasnym przesmyku do ptastwa z pod nóg nawet zrywającego się. Nabitej broni do domu nie odnosić, nadewszystko gdy ta po wystrzale bez przetarcia rurki będzie powtórnie nabita. W takim razie za powrotem nabój wprędce wykręcić, i rurę dobrze przetrzeć.

Jeżeli fuzya nie wystrzeli, a tylko na panewce proch się spali, nie należy wylotem rury do siebie lub do kogo zbliżać; a tem więcej przedmuchiwać: albowiem okropne nie raz już się okazały skutki przez niewiadomość obchodzenia się z bronią, w której po spaleniu prochu z panewki w zapale tleje powoli nabój zwilgotniały, i po kilku minutach fuzya sama wystrzela, a tem prędzej za podmuchnieniem.

Nie wychodzić na polowanie, nie mając z sobą w zapasie kul wedle kalibru fuzyi, albo loftek, a nawet grubego, sarniego szrótu, również krzemienia, prochu, szrótu i grajcara dla dobywania kłaków. Zdarza się natrafić na grubą zwierzynę, której nie mając czem strzelać, myśliwy bywa niespokojny i na tem traci.

Na ostatek w zdarzeniu natrafienia grubej zwierzyny, wprzód szrót dobyć, a później kulą nabić: gdyż inaczej, nie tylko kula nie miała należytego impetu, lecz nawet nastąpiłoby silne trącenie fuzyi.

O broni ręcznej i dalszych narzędziach do myślistwa potrzebnych.

Po wymienionej broni ognistej, z której się strzela z mety dalszej, pozostaje nadmienić o narzędziach ręcznych, do pokonywania zwierząt psami obsadzonych, w sieci uwikłanych, albo podstrzelonych. Broń ta dzieli się na trzy rodzaje: na oszczepy, kordelasy i noże.

Oszczepy służą do grubych i drapieżnych zwierząt, jakiemi są niedźwiedzie, dziki i t. p. Na niedźwiedzie robią się żelazka szersze i osadzają się na oszczepowisko rosnące, czyli rękojeść z mocnego wiązu; to na pniu jeszcze młodym nacina się na korze od góry do spodu; narżnięcia te przez czas niejaki zapływają sokiem i zostawują chropowatość stwardniałą na korze, która i mocy drzewu dodaje, i rękom w uderzeniu niedźwiedzia ślizgać się nie pozwala. W żelazku przy osadzie rękojeści na pół łokcia od ostrza, daje się klapa czyli essowatość, aby rażony zwierz nie mógł się przesunąć do leśnika. Oszczep po łowiecku kieruje się ręką lewą, a prawa służy do silnego trącenia i utrzymania zwierza. Leśnik kierujący oszczepem, ma się rozporządzić tak, żeby lewa ręka o kolano lewe opierała się, a kolano prawe służyło za podporę ręki prawej. W takiej pozycyi oczekuje zwierza, który, jeżeli się zbliża, a mianowicie odyniec, uważa jego kierunek głowy, dla tem trafniejszego wymierzania oszczepem w piersi pomiędzy przednie łopatki.

Oszczepy zaś na dzika robią się z żelazka węższego, lecz z takąż rękojeścią, co i poprzedzające. Leśnik, walczący ze zwierzętami drapieżnemi z pomienionem narzędziem, ma być człowiek pełen odwagi i siły, jako też mający w tej mierze szczere powołanie.

Kordelasy służą do pokonywania zwierząt również drapieżnych: żelazka tych co do kształtu, robią się według woli każdego z prostemi lub zakrzywionemi wąsami przy osadzie rękojeści. Trzonek, czyli rękojeść, może być rogowa lub drewniana. Lecz żelazko jest trójkątne z brzegami ostremi: koniec ostrza ma być również kończaty, dla łatwego przeszycia zwierza. Niektóre kordelasy miewają żelazko płaskie w kształcie noża.

Noże łowieckie używają się do płatania, czyli patroszenia zwierząt, które bywają rozmaite, większe na łokieć długie, inne małe na 6 calów długości, trzonki zwyczajne lub rogowe bywają.

(Dok nast.)

Prezydent Roosevelt jako myśliwy.

(Dokończenie).

Przygoda z niedźwiedziem „grisly", powyżej opisana, świadczy, że Roosevelt jest nietylko odważnym myśliwym, ale też wyjątkowo zrównoważonym człowiekiem, zachowującym zawsze zimną krew i działającym celowo. Świadczy o tem także fakt, że zabiwszy już mnóstwo różnych gatunków jeleni, ani razu nie zabił łani, uważając to za czyn nieprawidłowy z punktu widzenia myśliwskiego. Twierdzi też, że myśliwy może zabić łanię jedynie w wyjątkowych warunkach, gdy naprz. głód mu dokucza w pustyni. Również uważa za niegodne myśliwego ubicie zwierzyny, którą najprzód zmęczył, goniący ją towarzysz polowania, lub gdy wogóle ten ją na strzał naprowadził.

Roosevelt między innemi opisuje swe polowanie nocne na jelenie z podjazdu łódką przy świetle pochodni.

Było to za czasów pierwszej młodości prezydenta. Jezioro, po którem łódka płynęła, miało milę angielską długości i trzy czwarte mili szerokości. Roosevelt wyjechał z przewodnikiem o zmroku, ale przez dwie godziny nie spotkali jelenia.

— Pomimo to — pisze Roosevelt — zachwycała mnie ta widmowa, tajemnicza jazda nocna, pełna ciszy cmentarnej. Najlżeszy plusk wody nie zdradził ruchów wioseł. Tajemniczo posuwała się łódka wzdłuż brzegu, a blask latarni odkrywał na mgnienie oka każdy szczegół życia leśnego na wybrzeżu, by po sekundzie znowu utonąć w ciemnościach. Wreszcie usłyszeliśmy pluskniecie wśród roślin wodnych na brzegu; nawet moje, wówczas jeszcze niedoświadczone ucho rozpoznało, że jest to jakiś odgłos, różny od tych, któreśmy dotąd słyszeli; silniejsze poruszenie wiosłem świadczyło również, że mój towarzysz chce mi na coś zwrócić uwagę. Bez wszelkiego porozumiewania się zmieniliśmy raptownie kierunek jazdy. Nawracaliśmy do brzegu, zarośniętego gęstym lasem, i oświetliliśmy bagno nad jeziorem, przyczem ukazał nam się młody jeleń roczny w sierci letniej. Stał prawie nieruchomo i z pewnem zaciekawieniem przypatrywał się światłu, nie okazując najmniejszego lęku. Gdym wystrzelił, odwrócił się, chcąc umknąć, lecz wnet runął w ogniu na brzegu jeziora.

Po tym opisie następuje parę uwag, wybornie charakteryzujących poglądy myśliwskie Roosevelta.

„Był to mój pierwszy jeleń i bardzo się cieszyłem, że go zabiłem. Lecz aczkolwiek byłem jeszcze chłopcem, miałem jednak dość rozsądku, żeby uznać, iż stała się rzecz, która się powtórzyć nie powinna. W tym wypadku zasługuje na uznanie tylko wioślarz, a wcale nie strzelec, który zresztą w tych warunkach może za często bić zwierzęta, karmione jeszcze piersią matki. Myśliwy, choćby najmłodszy, jeżeli tylko myśli rozsądnie, nie będzie miał długo upodobania w metodzie, która główną część kierownictwa powierza komu innemu, zostawiając myśliwemu zaledwie jeden strzał niepewny. Jest to raczej złudzenie polowania.“ ,

Podobnież za czyn niemyśliwski uważa Roosevelt zabić jelenia mszystego, zwanego w Ameryce „Moose“, lub „Elen“, w jego barłogu zimowym. Olbrzymi ten jeleń ma zwyczaj taki, że po pierwszym śniegu wyszukuje sobie rewir obfitujący w zarośla, by się tu odpowiednio zagospodarować na zimę. Roosevelt uważa tedy za niegodne myśliwego odszukanie na nartach tego schroniska, bo wtenczas można bardzo łatwo zabić tego jelenia. Natomiast jest zwolennikiem polowań, przedstawiających wielkie trudności i związanych z pewnem niebezpieczeństwem.

Polowanie na tego jelenia-olbrzyma odbywa się w rozmaity sposób. W czasie rui na północo-wschodzie Stanów Zjednoczonych, nad ranem albo przed wieczorem, wabi się byka w ten sposób, że myśliwy naśladuje ryk na odpowiedniej dutce, sporządzonej z kory brzozowej. Jedynie ten sposób polowania z podchodzeniem, pochwala Roosevelt.

Późną jesienią prezydent był pewnego razu na polowaniu z przewodnikiem między Idaho a Montana w górach, należących do pasma gór „Bitter-Root“. Jechali konno, a oprócz tego każdy miał jeszcze jucznego konika „pony“. Droga była uciążliwa. Po wielu wysiłkach dotarli do miejscowości, która służyła za żerowisko dla jeleni „Moose“. Nie chcąc ich jednak spłoszyć, odjechali jeszcze o milę dalej, gdzie rozbili namioty. Jako pożywienie do mięsa, które upolowali, mieli tylko sam chleb, upieczony własnoręcznie poprzedniego dnia w obozie.

„O brzasku dnia — pisze Roosevelt — przebudziłem się, zmarznięty prawie. Towarzysz mój spał jeszcze. Szron pokrył wszystko wokoło namiotu, zimno było dokuczliwe. Ubrałem się ciepło i przez las udałem się na łąkę, gdzieśmy odkryli ślady olbrzymich jeleni. Zanim opuściłem schronienie, w postaci ostatnich sosen, zatrzymałem się chwilę, żeby podsłuchywać; w tej chwili prawie usłyszałem odgłos silnego plusku w poblizkiej rzece, w której na brzegu spostrzegłem jelenia wśród róż wodnych, służących mu za żerowisko. Czołgając się po ziemi, posuwałem się cichuteńko wzdłuż zarośli. Nagle usłyszałem powtórny plusk obok siebie i ujrzałem tuż blizko jelenia, który jednak, posuwając się naprzód, zniknął prędko za zakrętem rzeki, płynącej zygzakowato. Puściłem się na przełaj zaroślami za jeleniem. W odległości 20 metrów ujrzał mnie jeleń, który, nawpół leżąc, skierował na mnie wzrok przerażony, przyczem ten zwierz bagniskowy, rzadko spotykany i zawsze w tajemniczem otoczeniu, olbrzymiem swem cielskiem wywarł straszne wrażenie jakiegoś stworzenia przedpotopowego. Kilka sekund pozostał nieruchomy, poczem powoli zaczął się odwracać, jakby miał ciało rozchorowane. Gdy zdołał dokonać zaledwie ćwierci obrotu, posłałem mu kulę na komorę, poczem podskakując, usiłował skryć się między wierzbami. Nie zdążył jednak zbytnio się oddalić i runął na ziemię martwy. Kula przeszyła mu serce“.

Podczas swojej prezydentury, Roosevelt nie przestał być gorliwym myśliwym, ale teraz, naturalnie, poluje inaczej, chociaż w towarzystwie starych znajomych, oraz kolegów z czasów *Rough-Ridersu,* konno, ze sforą pierwszorzędną, na niedźwiedzie, kuguary, oraz z chartami w preryach na wilki. Na śniegu, gdy znajdą trop jakiego drapieżnika, psy pracują całemi godzinami, dopóki nie dojdą zwierza. Sceny takie każe zwykle prezydent fotografować. Raz Roosevelt dobił kordelasem kuguara, którego psy napadły i pokąsały.

Na stan pogody Roosevelt jest zupełnie nie wrażliwy. Nieraz w czasie śniegu, mrozu, a nawet burzy, przepędza po 12 godzin dziennie na koniu, całymi tygodniami, albo też brodzi po śniegu i wdziera się na strome skały górskie, na które dostać się nie mogą nietylko konie, ale nawet psy. Taka dzielność myśliwska wymaga też obok wielkiej siły fizycznej, niezwykłego hartu ducha, wytrwałości i poświęcenia. Takie też są i głoszone publicznie dotąd zalety ustępującego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Odlot ptaków.

Wrażliwy na piękno przyrody myśliwy, w jednem z zagranicznych pism w następujący, pełen poetycznego polotu, sposób, opisuje swoje spostrzeżenia jesienne, — listopadowe:

Po gęstych mgłach, które w połowie października poczęły otulać ziemię — wypogodziło się niebo. Powietrze stało się czyste, jasne i lekkie, jak w krainie gór; słoneczne blaski nie przysłonięte chmurami, poczęły się rozlewać po ziemi. Ale nie wiosenne to już słońce.

Snują się w niem białe, długie przędziwa pajęcze, padają na żółknące trawy, na senne ścierniska, na liście z drzew strącone.

Nie wiosenne to niebo! Choć jego lazur tak czysty, jak wody źródlane, już widać wśród niego czarne plamki; to ptactwo, które się słońcem, ani niebem złudzić nie daje. Idą powietrzne watahy z północnych krain, dążą na południe, ku krainie, gdzie inaczej słońce świeci.

Idą już nie z weselnym okrzykiem, ochocze, szczęśliwe, szukać miłości i weselnych godów, słać gniazda, ale jakieś zadumane, senne, jak ten, co się żegna na długą, niepewną drogę. Nocami brzmi pojęk gęsi; gęgając nad uspioną ziemią, tak nizko czasem ciągną, że słychać łopotanie i szum skrzydeł. Niekiedy już z wieczora widać ich ruchomy trójkąt na niebie rozpięty. Jakiś niepokój dręczy w tych czasach swojskie ich siostrzyce; podnoszą żałosny jęk i lament, gdy słyszą lub widzą bratnie gromady. Długą niewolą skrępowane, upodlone, chciałyby zerwać pęta — napróżno. Ich skrzydła już bezsilne; poderwą się, wzlecą w góre, ale nie na długo. Zawstydzone

wracają rychło na ziemię, do szopy, do żłobu, gdzie człowiek sypie jadło.

I samotne żórawie zebrały się w gromadę; płyną w czystych przestworach, jak karny ordynek; w głowie klina najtęższy — wódz, bokami szeregowi. Oni na włos nie zmieniają szyku. Rozumieją prawa oporu powietrza i wypadkowej sił i podziału pracy..., jak najlepsi matematycy.

Czasem naczelnik rzuci krótki, jak metal dźwięczny odzew, szyk się równa, lecą coraz mniejsze, mniejsze, jeszcze ich ściga oko, jeszcze, jak muszki drobne... nikną. Żegnajcie!

Wieczorem chłód coraz większy, rankami już cieniutka, lodowa skorupka na płytkich wodach się tworzy. Schmurzyło się niebo, powiał wiatr wschodni, zły, kąsający. Z nim przyleciały i śniegowe płatki. Coraz ich więcej, zabieliła się ziemia. Ze śniegiem spadły pierwsze słonki. Nadleciały rozkoszne długodzioby, patrzą wielkiemi, cudnemi oczami po zrębach, chodzą niepewne, zdumione: ta sama to okolica, czy nie ta sama, w której z wiosną były? Brodzą wśród śniegu, szukają w oparzeliskach pokarmu, mało go, trzeba iść dalej... Więc idą. Ale myśliwy ich nie puszcza — zbyt mu drogie.

Ale śnieg nie ma w sobie siły; zawcześnie na niego. Pociągnął wiatr inny, gdzieś od Dunaju, ciepły wiatr śnieg w oczach jedzący. Rozmarzły wody, bulgoczą strugi; niebo zszarzało i poczyna się plugawa, jesienna szaruga.

Tak płacze niebo prawie bez wyjątku koło święta Zaduszek. W zimnych, wilgotnych mrokach gubi się świat cały; chora senność ogarnia wszystko, co żyje. Jak przed śmiercią człowieka — to jesień dogorywa przed śmiercią zimową. To pora, w której każdy radby przespać te dnie skisłe, trupie, które listopad przynosi.

I tylko myśl ludzka, ta boska cząstka człowieka, leci wraz z lotnymi wędrowcami nad one morza, co jak roztopione szafiry, całują stopy skał, na których rosną nigdy nie więdnące bluszcze, bez przrwy kwitną kwiaty, a niebo nie pokrywa się tak często szarą chmur oponą.

Słychać strzały. Żegnają Nemrodzi piękne ptaszki. Ale nie tak łatwy to strzał w jesieni. To nie strzał wiosenny, na ciągu, gdy słonka szuka radosnych wzruszeń, chrapie zdaleka i nad głową powoli leci. Teraz jak wiatr się zrywa, mignie tylko i już znika w gąszczach.

Lisisko wyciąga się, wystawia z jamy trójkątną głowę, chytremi oczkami patrzy — oj! biało! Nie wierzył czcigodnym ojcom, że tak kiedyś będzie, teraz widzi, że prawdę starzy mówili. Ogląda swe futro — piękne! Nie takie, jak w lecie, wytargane, rzadkie, aż skórę przezeń widać. Śliczne futro się zrobiło, gęste, błyszczy jak lustro. Przeciągnął się, ziewnął, trzeba iść w drogę, po kiszkach mu burczy, nie jadł śniadania. Nie wie, że na pierwszym śniegu każdy krok zdrajcą; ślad wyraźny, jak cień się za nim wlecze. Już wlazł na niego gajowy, zdaleka sunie i głową kiwa. Ale jeszcze dużo wody upłynie, nim mu koniec zrobi. Chytry chłop, ale i lis chytry. Ku ludzkim siedzibom nadciągnęły małe ptaszki. One nie idą w ciepłe kraje — zimują, gdzie ich gniazda. Pogwizdują czerwone gile, siedzą nadęte na gałęziach jarzębiny i objadają się purpurowym owocem. Małe sikorki, jak złociste kule, oglądają konarki, czarnemi, jak perełki, oczkami wypatrują każdą poczwarkę w szczelince ukrytą, pucują drzewa niestrudzone pracownice... I tak wiecznie...

Wystawa Łowiecka w Poznaniu.

W marcu 1909 r. odbędzie się w Poznaniu wystawa łowiecka trofeów myśliwskich.

Ażeby nadto zwrócić uwagę ogólną na znaczenie łowiectwa, jako ważnej gałęzi kulturalnej i ekonomicznej, postanowił wydział Towarzystwa łowieckiego poznańskiego rozszerzyć zadanie pierwszej wystawy tej i objąć nią jednocześnie wszelkie gałęzie sztuki i przemysłu, będące w bezpośredniej styczności z łowiectwem. Warunki udziału są następujące:

I. *W oddziale trofeów myśliwskich* oddaje się każdemu członkowi Towarzystwa łowieckiego bezpłatnie 2 kwadratowe metry przestrzeni, pozatem opłaca się za każdy dalszy, na żądanie oddany, kwadratowy metr po 5 mk.—Nieczłonkowie opłacają po 10 mk. od kwadratowego metra zajętej przestrzeni, najmniej wszakże 5 mk., dla leśników jeden metr kwadratowy bezpłatnie, pozatem za każdy dalszy kwadratowy metr po 3 marki.

II. *W oddziale sztuki i literatury* pomieszczone okazy, wolne będą od wszelkiej opłaty, o ile nie będą wystawione na sprzedaż. Na sprzedaż wystawione opłacają, jak w oddziale przemysłu.

III. *W oddziale przemysłu* opłacają biorący udział po 3 mk. za kwadratowy metr powierzchni, zajętej na ścianie, a po 10 marek od kwadratowego metra posadzki. Przy zamówieniach większych przestrzeni nastąpi odpowiednie zniżenie ceny.

Oprócz powyżej wymienionych trzech oddziałów, urządzony zostanie

IV. *oddział osobliwości łowieckich*, w którym znajdą pomieszczenie wykopaliska rogów lub zwierząt przedhistorycznych, stara broń, ryciny (miedzioryty) i t. p. starożytności.

Wszystkie te okazy, bez względu, od kogo nadesłane zostały, wystawione będą bezpłatnie.

W wystawie mogą wziąć udział jedynie firmy (przemysłowcy i kupcy) z Księstwa i Prus Zachodnich, inne zaś tylko w tym przypadku, gdyby pewne oddziały nie miały być wcale, lub w niedostatecznych okazach reprezentowane.

Miejsce na wystawę przeznaczone, nie jest zbyt obszerne, późno zgłaszających się mógłby spotkać przykry zawód niedostania odpowiedniego, lub wogóle miejsca na wystawie.

Zgłoszenia do wszystkich oddziałów winny nastąpić pod adresem p. Wł. Janta-Połczyńskiego w Redgoszczy pod Rąbczynem (Rombschin), który nadeśle odpowiednie do wypełnienia formularze.

Zgłoszenia na wystawę do oddziałów trofeów, sztuki i osobliwości myśliwskich nadeszły licznie, tak, że powodzenie wystawy jest zapewnione.

Z ubolewaniem wszakże zaznaczyć należy, iż przemysł polski z pod zaboru pruskiego, tylokrotnie wzywany do współudziału, dotąd w przeważnej części obojętnie stoi na uboczu. Czyżby nie zrozumiał ważności chwili i obowiązku, przedewszystkiem zaś interesu swego? Czyżby pragnął, ażeby Komitet, postępując według ułożonego programu, a więc, urządzając wystawę ogólną łowiecką, w braku dostatecznego poparcia od swoich, odwołać się miał do obcego przemysłu?

Podręcznik dla dzierżawców polowań.

(Nasz nowy dodatek).

Do N-ru 24 z d. 16 grudnia r. b. naszego pisma dołączymy zakończenie dodatku książkowego oryginalnie opracowanej monografii „Głuszca". Od Nowego Roku 1909 zaś w dodatku rozpoczniemy druk przekładu z niemieckiego, dzieła, które wywołało śród myśliwych w Niemczech wielkie zainteresowanie, o czem świadczą liczne i bardzo obszerne recenzye, zamieszczane w pismach fachowych.

Dzieło to stanowi niejako podręcznik dla dzierżawców polowań. Tytuł w dosłownym przekładzie brzmi: „Podniesienie polowań na drobną zwierzynę w rewirach dzierżawionych, ze szczególnem uwzględnieniem stosunku dzierżawcy polowań do ludności, uprawiającej rolnictwo". Autorem jest znany hodowca i myśliwy, Hegendorf, zarządzający wielkimi rewirami łowieckimi.

Jeden z recenzentów wyraża znamienny żal, że nie miał tej książki pod ręką, gdy rozpoczął zawód myśliw-

ski, ponieważ dzieło to byłoby dlań najlepszym przewodnikiem i nauczycielem. Wzbogaca ono umiejętność fachową zarówno dzierżawców, jak i zarządzających rewirami łowieckimi. Dużo jest zwłaszcza wskazówek praktycznych, dotyczących hodowli bażantów, kuropatw i zajęcy, za pomocą środków najmniej skomplikowanych i niekosztownych.

„Z praktyki dla praktyki", oto dewiza autora, konsekwentnie w dziele przeprowadzona, z uwzględnieniem ograniczonych środków, jakimi rozporządza dzierżawca, znajdujący się w warunkach o wiele gorszych, niż właściciel rewiru.

Dodać jednak należy, że aczkolwiek książka jest głównie przeznaczona dla dzierżawców i zarządzających, to jednak z niej dużo korzystać mogą także sami właściciele rewirów, znajdując tam wiele rad i wskazówek hodowlanych. Cenne są zwłaszcza wskazówki co do ochrony zwierzyny bez znacznych wydatków na licznych stróżów leśnych i dozorców.

Autor rozpatruje też szczegółowo następujące kwestye zasadnicze, od których zależy podniesienie zwierzostanu:

1. W jaki, najskuteczniejszy sposób dzierżawca polowań powinien tępić drapieżniki?

2. Jak dzierżawca może ochraniać gniazda, narażone na niebezpieczeństwo, i jakimi środkami zapobiedz wielkim stratom, mogącym stąd wyniknąć?

3. Jakie postępowanie jest najprostsze i najskuteczniejsze, za pomocą którego dzierżawca może doprowadzić do sztucznego wylęgania narażone na niebezpieczeństwo gniazda, ażeby w ten sposób osiągnąć zasiedlenie rewiru zwierzyną?

4. W jaki sposób dzierżawca może stworzyć w rewirze obfitującym w zwierzynę, takie warunki pomyślne, żeby ją trwale w nim utrzymać?

Wprawdzie dużo już pisano o tych przedmiotach w oddzielnych książkach i czasopismach myśliwskich; prawie nigdzie jednak nie uwzględniono specyalnie warunków, w jakich się znajdują dzierżawcy, ani też nie przeprowadzono tej sprawy w sensie ściśle praktycznym, w zastosowaniu do powszednich warunków życiowych, z pominięciem przeto rad teoretycznych, niewykonalnych w praktyce.

Zasługują też na uwagę szczególną wskazówki, oparte na doświadczeniu, dotyczące ochrony rewirów przed psami i kotami, przyczem autor podaje sposoby zapobiegawcze przeciw wtargnięciu do głębi lasu kotów i psów, aby dzierżawcy mogli uniknąć niepotrzebnego zabijania psów, ponieważ to wywołuje zatargi z sąsiednimi włościanami.

W ogólności mieści się w książce mnóstwo rad cennych, dotyczących uregulowania stosunków między dzierżawcami a właścicielami rewirów, tudzież między pierwszymi a sąsiednią ludnością rolniczą.

Obszernie i wyczerpująco są traktowane kwestye, mające związek z hodowlą, przyczem wszelkie uwagi, spostrzeżenia i wskazówki, oparte na długoletniej praktyce, jedynie też cele praktyczne mają na widoku.

Opis uzupełniają ciekawe ilustracye, przeważnie o charakterze pouczającym.

Praca ta wywrze niezawodnie pożądany wpływ na wielu właścicieli rewirów, którzy kierując się jej wskazówkami, wprowadzą liczne ulepszenia dla dobra i rozwoju zwierzostanu.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Antoniny (Wołyń), *w listopadzie.*

Jesienny sezon myśliwski u hr. Józefostwa Potockich w Antoninach, cieszący się od lat wielu ustaloną sławą i rozgłosem, zapowiadał się w tym roku świetnie. Gości zjechało się liczne grono, najwybitniejsi jednak sportsmeni i nemrodzi, jak z kraju, tak i z zagranicy, mieli przybyć pomiędzy 12/25 a 18/31 października i na ten to okres czasu, przypadały najważniejsze polowania.

Do polowania konnego *par force*, sprowadzono z lasów Cesarskich ze Spały (gub. piotrkowska) piękne okazy jeleni; w dwóch zaś bażantarniach, Heleninie i Wolicy, przeznaczono do odstrzelenia około 2000 bażantów, niespodzianką też dla myśliwych, miało być polowanie na dzikie kaczki, sztucznie tu, po raz pierwszy wychowane.

Sezon rozpoczął się polowaniami *par force* i dla rozmaitości, przeplatany był małemi polowankami ze strzelbą, już to w rewirze Czerniatyńskim, przeważnie na lisy, już w bażantarniach, gdzie strzelano tylko słonki i koguty wysoko latające, tak zwane przez myśliwych „jaskółki" i wreszcie na kaczki; polowanka te jednak, były więcej zabawką lub spacerem, gdyż do terminu głównych polowań, zostawało jeszcze dni kilkanaście.

Stare przysłowie mówi: „człowiek projektuje, a Pan Bóg dysponuje" i przysłowie to znalazło swe zastosowanie właśnie w tegorocznym sezonie, gdyż oto, w nocy z dnia 4/17 a 5/18 października, spadł śnieg prawie na łokieć głęboki, poformowały się zaspy śnieżne i przez dni kilka Wołyń nasz przedstawiał kompletną zimę, do jakiej przywykliśmy w grudniu lub styczniu, lecz nigdy w październiku, który bywa tu zwykle piękny, pogodny, czasem tylko zbyt suchy.

Już to co prawda, rok bieżący od samego początku, ciągłemi a bardzo dla rolników dotkliwemi niespodziankami nas darzył, i tak: w lutym ,który tu zwykle bywa śnieżnym, gdy przedwcześnie stopniały śniegi i odkryła się ziemia, przy wiatrach potężnych mieliśmy cały miesiąc suche mrozy, które doszczętnie zniszczyły późniejsze posiewy ozime, a których niezwykła susza zeszłoroczna nie pozwoliła w swoim czasie dokonać. Maj był jeszcze jaki taki, ale za to w czasie żniw, nawiedziły nas deszcze, ulewy i chłody, które spowodowały nieobliczone straty przez porośnięcie zbóż. Październik zaś obdarzył nas tak wielkim śniegiem, że ten grubą warstwą pokrył w połowie jeszcze nie wykopane buraki. Pocieszaliśmy się jednak, że śnieg musi prędko zginąć i nastąpią jeszcze ciepła. I rzeczywiście, po tygodniu, śnieg stopniał, ale wytworzyło się ogromne, a tak znane na Wołyniu, owo tłuste błoto, tamujące wszelką lokomocyę. Pomimo tego błota, przystąpiono całą forsą do dalszego kopania buraków. Niedługo jednak trwało owo błoto, gdyż na domiar złego w dniu 24 października (6 listopada) spotkała nas jeszcze jedna, a znów bardzo dotkliwa niespodzianka, bo 7 stopni mrozu i od tej pory trwa dotąd kompletna zima. Jakie szkody w tym czasie mróz ów wyrządził, dość powiedzieć, że są w okolicy fabryki cukru, w których po kilkaset morgów buraków kompletnie zamarzło; są i gorzelnie, co nawet połowy kartofli nie otrzymały. Dobra Antonińskie, z całej tej klęski, dzięki forsie, wyszły jeszcze jako tako, gdyż skończyło się na 64 morgach zamarzniętych buraków, ale w okolicy jest bardzo źle ze wszystkiemi okopowemi roślinami.

Wobec podobnych niespodzianek, i zapowiadający się tak świetnie sezon polowań dużo ucierpiał, gdyż fatalna pora zupełnie go uniemożliwiła, gościnnym zaś gospodarstwu, wypadło tych gości, którzy jeszcze nie przybyli, z żalem odprosić, a obecni poczęli się prędko rozjeżdżać i dla ostatnich tylko, urządzone było jeszcze małe polowanko po głębokim śniegu, częścią w lesie przy bażantarni Helenin, częścią w samym Heleninie.

Rezultat małych polowanek ze strzelbami był następujący:

Data	REWIR	Lisy	Kozły	Zające	Króliki	Bażanty	Słonki	Dzikie		Różne	Razem
								Gęsi	Kaczki		
29/12 X	Rew Czerniatyn	4	1	11	—	—	3	—	—	1	20
2/15 X	Bażant. Wolica	—	—	—	8	282	8	—	—	1	299
4/17 X	Las Heleniński	—	—	22	8	22	3	3	168	1	227
13/26 X	„ i Baż. Helenin	—	2	21	3	254	2	—	—	1	283
	Ogółem	4	3	54	19	558	16	3	168	4	829

Do grona gości w czasie sezonu należeli: z książąt Czetwertyńskich hr. Tarnowska, Excel. hr. Romanowa Potocka, hr. K. Tyszkiewiczowa, hr. Chołoniecka z córką, hrabianki Ewa i Eufemia Rżyszczewskie, księstwo St. Radziwiłłowie, hr. B. Tyszkiewicze, hr. A. Zamoyscy, oraz sir Artur Nicolson, ambasador angielski w Petersburgu, p. Castro, minister portugalski, książęta: Roman Sanguszko, E. Sapieha, H. Lubomirski, earl of Lieven Melville, S. Demidoff, hrabiowie: Koziebrodzki, Lanckoroński, ordynat A. Tyszkiewicz, K. Orłowski, Alfred i Jerzy Potoccy, S. Przeździecki, A. Clary, oraz panowie: Hendersen, Kossak, J. Dachowski, Pogorski i inni.

Wracając jeszcze do polowań na dzikie kaczki, o których wyżej wspomniałem, pragnę kolegów myśliwych zaznajomić z tym prawie dotąd nieznanym u nas sportem, a praktykowanym na dużą skalę w Anglii i Szkocyi, w części zaś w Czechach, na Szląsku, a w Galicyi, w hrabstwie Łańcuckiem u hr. Romana Potockiego. Otóż po przysposobieniu na wiosnę danej ilości jaj kaczek dzikich, przeważnie krzyżówek — gdyż te najwięcej do sztucznej hodowli się nadają — podsadza się jaja pod indyki, a wylężone kaczęta, przenieść trzeba do urządzonych odpowiednio na ten cel stawków. Póki kaczki jeszcze małe, zadaje się im karmę blizko stawków, w miarę jednak wzrostu kacząt, miejsce na karm przeznaczone, coraz więcej się oddala od owych stawków, tak, by dojść do odległości półwiorstowej, a nawet i dalej. Jako apel do karmienia, daje się sygnał na małej trąbce lub głośnej świstawce, na który, póki kaczki nielotne jeszcze — biegną piechotą. Cała zaś sztuka polega na tem, ażeby gdy kaczki już zaczną dobrze fruwać, wyuczyć je, w którym kierunku stale mają latać i, przy umiejętnej tresurze kaczek, cel ten bywa osiągnięty tak, że będą ciągnęły jedynie nad miejscem, wcześniej już na stanowiska dla myśliwych obranem.

Pierwsza próba u nas wcale nieźle się udała, jak pokazuje rezultat, w powyżej zamieszczonej tabelce wykazany. I dodać jeszcze muszę, że w polowaniu tem brało udział aż 14 myśliwych, których stanowiska były od siebie odległe o 30 kroków, a wszyscy dużo strzelali, tak, że strzałów padło z górą 500, ale co prawda, bardzo mało kaczek uszło z życiem. Zachęcony tą pierwszą próbą, hr. Potocki, pragnie sport ten na dużą u siebie urządzić skalę i to blizko Antonin, na pograniczu przykupionego w tym roku majątku Józin, gdzie teren — według zdania przybyłego tu z Anglii specyalisty do zakładania kaczkarni, a rodem Szkota — jest idealny. Specyalista ten, porobił już na miejscu studya, wykazał, gdzie się mają kopać stawki i cały plan nadeśle. Co jest w twierdzeniu owego specyalisty ciekawego, to, że do terenu, na którym ma być założona sztuczna hodowla kaczek, a mającego długości około 3-ch wiorst, wszystkie dzikie kaczki z okolicznych stawów zlatywać się będą i dadzą się strzelać setkami. O ile się to sprawdzi — przyszłość okaże.

Na zakończenie tej mojej korespondencyi i, w powołaniu się na zeszłoroczny mój artykulik w „Łowcu Polskim", w którym donosiłem, że dla powiększenia niezbyt fortunnego, zwłaszcza w zającach, w lasach naszych zwierzostanu, jak hr. Potocki, tak i Szepietowiecki oddział Cesarskiego Towarzystwa racyonalnego polowania, sprowadzili aż z Wałdaju, nowogrodzkiej gubernii, dość znaczną partyę zajęcy bielaków i obiecałem napisać do „Łowca Polskiego", o ile zające te u nas się zaklimatyzowały. Wywiązując się więc z obietnicy, donoszę, że z zającami tymi zrobiło się kompletne *fiasco.* Bielaki, wypuszczone wkrótce po ich przywiezieniu koleją do lasów przeważnie najgęściej podszytych (bielaki podobno bardzo lubią gąszcze i według opinii o nich, nigdy z lasów nie wychodzą) w niedługim czasie porozbiegały się, nietylko do odleglejszych, sąsiedzkich lasów, ale powychodziły i na pola, że zaś luty był u nas bezśnieżny i na czarnej stopie bielaka zdaleka było widać, więc nasi kmiotkowie, brakonierzy, których u nas nie brakuje, prędko się z nimi sprawili, tak, że obecnie, w miejscowościach, gdzie były puszczone, bardzo ich mało widać, słowem, cała manipulacya nie opłaciła się i mamy zawód.

Jako *curiosum* z tegorocznego przelotu słonek, nie mogę nie zacytować tu faktu następującego. Leśniczy nasz z rewiru Leszczańskiego, pan Maczewski, wyszedłszy do lasu w czasie opadu śniegu, o którym wyżej wspomniałem, napotkał w gąszczach świerkowych, bardzo dużą ilość słonek, co skonstatowawszy, wziął jednego z pobereżników i kazał mu iść po gąszczach nad liniami i drogami i straszyć słonki, sam zaś, postępując obok po liniach i drogach, w parę godzin ubił 22 sztuki, trochę było pudeł, ale wiele bez strzału poleciało. Powróciwszy do domu, zatelefonował do nas, do Antonin, o tym nalocie, nigdy jeszcze nie praktykowanym w takiej ilości, a wieczorem przysłał do Antonin, jako *corpus delicti*, paczkę tych pięknych długodziobów. Pragnąc skorzystać z takiego przelotu, zatelefonowaliśmy, by nazajutrz bardzo rano sprawdził, czy są jeszcze słonki, ale, niestety, odpowiedź brzmiała, że już ani jednej nie spotkał w lesie. A szkoda, byłbym się bowiem w parę fuzyj tam wybrał, gdyż, jak p. M. utrzymywał, dnia poprzedniego w kilku myśliwych i przy małej nawet nagance, można było jakąś setkę lub więcej zabić. Na ogół, przelot słonek u nas w tym roku był słaby, tem więc przykrzej, że nie skorzystało się z okazyi.

Artur Śliwiński.

Strzelanie do gołębi.

Z powodu zamieszczonych w ostatnim N-rze ,,Łowca Polskiego" uwag o rezultatach finansowych dotychczasowej działalności naszego *tir aux pigeons* w szczególności i całego Koła Sportowego wogóle, Sekretaryat Koła nadesłał nam informacye ścisłe, które stan rzeczy przedstawiają w nieco odmiennem świetle. Sekretaryat twierdzi, że Koło Sportowe nie znajdowało się nigdy w kłopotach finansowych i że interesa Koła są w dobrym stanie, Komitet bowiem jest w posiadaniu całkowitego kapitału, jaki złożyli członkowie-założyciele, rzeczywiści i zwyczajni. Kapitał ten w połowie znajduje się w gotowiźnie, lokowanej w banku, a prawie całkowita renta jest unieruchomioną w urządzeniach sportowych. Sekretaryat podkreśla też ten fakt, że Koło osiągnęło tak dodatnie rezultaty, pomimo niesprzyjającej w ciągu ubiegającego roku aury i pomimo braku poparcia ze strony prasy.

Jeżeli tak jest, o czem członkowie będą mogli przekonać się ze sprawozdania, które komitet po ukończeniu roku sporządzić zapewne nie omieszka, to nie pozostaje nam nic innego, jak tylko powinszować naszemu Kołu Sportowemu pomyślnych rezultatów pomimo trudnych zawsze początków i wyrazić radość, że instytucya, której obywatelskie uczucia dobrze nam są znane, tak dzielnie sobie poczyna. Pojmując zupełnie dokładnie jej społeczne i kulturalne zadania i cele i nie lekceważąc ich wcale, pragnęlibyśmy jej rozwoju najszerszego, na co przy takich dobrych początkach w przyszłości liczyć już można.

Dalsze wyjaśnienia Sekretaryatu Koła wykazują, że, niestety, interesy stendu nie przedstawiają się tak świetnie, jak nam się wydawało. Koło Sportowe wydało znaczny kapitał na urządzenie *tiru,* a obecnie jeszcze będzie musiało zaawansować większą sumę na wzniesienie odpowiednich zabudowań, a mianowicie, specyalnego domku, który mógłby służyć członkom i w lecie i w zimie (bowiem powstał projekt utworzenia zimowego sezonu strzelania do gołębi), oraz dwóch volier dla gołębi. Do zamortyzowania tych nakładów jest jeszcze bardzo daleko, Sekretaryat więc jest zdania, że powiększenie nagród może nastąpić tylko przy zwiększeniu się liczby strzelających. W ubiegłym sezonie przyjmowało udział w strzelaniu 124 strzelców, z tego wielu odwiedziło plac zaledwie raz lub dwa i na tem poprzestało. Niewielka ilość sportsmenów, stale ten sport uprawiających, nie może dostarczyć Zarządowi stendu środków na wysokie nagrody.

Taki jest pogląd Sekretaryatu Koła na sprawy stendowe. Zkądinąd jednak wiemy, że Komitet Koła nosi się z myślą poczynienia strzelającym ustępstw, jakie się tylko okażą możliwe, bowiem zadaniem Koła nie jest gromadzenie kapitałów, lecz jaknajszersza popularność tej instytucyi, mającej na celu jedynie rozbudzenie w naszem społeczeństwie zamiłowania do zdrowego sportu.

Przy sposobności, dla wiadomości naszych sportsmenów, musimy zaznaczyć, że przeciwko strzelaniu do gołębi występuje czynnie Towarzystwo opieki nad zwierzętami. W protokóle z posiedzenia Zarządu z d. 29 maja b. r. znajdujemy w punkcie 2 następujący ustęp:

„Z powodu otwarcia przez Towarzystwo „Sport" terenu przy ulicy Czerniakowskiej specyalnie urządzonego do strzelania w locie gołębi — wystąpić do odpowiednich władz o zabronienie rzeczonemu Towarzystwu tak barbarzyńskiej i dzikiej zabawy".

Szkoda drogiego czasu szanownego Zarządu na zajmowanie się tą sprawą i papieru na bezcelową korespondencyę z władzami. Nie pierwszy to jednak raz Towarzystwo opieki nad zwierzętami naraża się na niepotrzebne *fiasco*. Pragnęło ono przecież wyjednać zakaz vivisekcyj i wyścigów dystansowych. Jedne i drugie istnieją w dalszym ciągu i strzelanie do gołębi wytrzyma jego ataki.

J. Z.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej w d. 23 listopada następujący kandydaci przyjęci zostali w poczet Rzeczywistych Członków naszego Oddziału: pp. Hempel Stefan z Warszawy, Lubliński Stanisław z Warszawy, Kurnatowski Mścisław z Warszawy, Leszczyński Stanisław z Borowic, Sulimierski Stanisław z Pilawy, Berson Michał z Leszna, Ciszewski Zygmunt z Piegłowa, Boetticher Julian z Sokolnik, Marczenko Eugeniusz z Modlina, Jankiewicz Tadeusz z Warszawy.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

Dnia 10 listopada, u pp. Józefostwa Czarnowskich, w Kroczewie, odbyło się polowanie w 12 strzelb, na którem zabito: 271 zajęcy i 5 kuropatw. Najwięcej sztuk zabił p. Seweryn Kotkowski z Bodzechowa, który miał na rozkładzie 41 zajęcy i 2 kuropatwy. Podziw w gronie myśliwych wzbudzała celnymi strzałami pani Tadeuszowa Abramowiczowa z Niewikli; zabiła 18 zajęcy i słusznie została królową polowania. Wieczorem świetne przyjęcie zakończyło dzień, ku ogólnemu zadowoleniu.

Dodać należy, że jak na zwierzostan Kroczewski, rezultat polowania był nie świetny. Przypisać to należy zeszłorocznej motylicy.

R. D.

W Sójkach (pow. kutnowski) odbyło się d. 14 listopada u Jana hr. Moszyńskiego polowanie na zające w 12 strzelb, na którem padło: 114 zajęcy, rogacz i 20 kuropatw. Królem był p. Kaźmierz Wodziński z Kter, który miał na rozkładzie 21 sztuk. Rogacza ubił p. Stanisław Wodziński, jun., z Nowej Wsi.

Na Sójkach padło dotąd ogółem: 1 rogacz, 116 zajęcy, 14 kwiczołów, 15 bażantów, 169 kuropatw, 8 przepiórek, 5 derkaczy, 23 dzikich gołębi (grzywaczy), 1 kszyk, 2 kaczki, 2 bociany, 99 wron, 17 kotów, 36 psów, 7 jastrzębi, 8 srok i 15 wiewiórek, razem sztuk 538.

Dnia 14 listopada odbyło się polowanie na zające w Czarnym Sadzie, w Poznańskiem, u pana Chosłowskiego. W dziesięć strzelb zabito 167 zajęcy i kilka kuropatw.

W dniu 16 listopada w Imielnie, w Kutnowskiem, u p. Kazimierza Witkowskiego odbyło się polowanie, na którem padło 300 zajęcy, 55 kuropatw, 3 króliki, 2 sowy i 2 lisy. Królem łowów był p. T. Busse z Kujaw.

Dnia 19 listopada odbyło się polowanie w dobrach Stargardzkich, w Poznańskiem, u pani Chełkowskiej. Zabito 382 zające.

W Modrzu, w powiecie poznańskim zachodnim, majątku pana Marcina Biedermana, odbyło się dna 21 listopada polowanie; zabito około 500 zwierzyny. Zebrano 84 marki „strzałowego" dla rodzin po górnikach, którzy zginęli w kopalni pod Hamm.

Pierwsze zbiorowe polowanie Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa odbyło się w dniu 21 listopada. Polowano w 20 strzelb w rewirze Pogorzel, w dobrach Osieckich, i zabito 68 zajęcy i 2 kuropatwy. Królem polowania był p. J. Zarembski, który miał 10 zabitych zajęcy.

W dniu 28 listopada polowano w 20 strzelb na terenie Tchórzowa i zabito: 144 zające, 1 lisa, 2 kuropatwy i 1 jastrzębia. Królem polowania był p. Kudelski, który zabił 14 zajęcy i jastrzębia.

Drobiazgi myśliwskie.

Stan zajęcy jest w r. b. niepomyślny. Rezultaty odbytych dotychczas polowań wykazują ilość zabitych sztuk znacznie mniejszą, aniżeli się spodziewano. W niektórych miejscowościach tegoroczne rezultaty dochodzą zaledwie do połowy zeszłorocznych. Niepomyślne wieści nadchodzą ze wszystkich okolic nietylko Królestwa, ale i z Poznańskiego, gdzie rezultaty są również znacznie niższe od zeszłorocznych. Myśliwi upadek zwierzostanu przypisują niezwykle długo panującym chłodom podczas tegorocznej wiosny, a zimne i dżdżyste lato również wpłynęło pod tym względem ujemnie.

Policyant wspólnikiem kłusownika. Przed sądem okręgowym stanął starszy strażnik ziemski, Jan Poturajew. Działalność tego strażnika zaznaczyła się mnóstwem karygodnych czynów. Między innemi pewnego razu Poturajew, obchodząc pola, spotkał włościanina ze wsi Łysaków, Franciszka Gindacza, z dubeltówką, na którą ten ostatni nie miał pozwolenia. Miast odebrania Gindaczowi broni, strażnik za karę kazał przynosić sobie połowę upolowanej zwierzyny. W ciągu dwóch zim Gindacz wywiązywał się doskonale z zobowiązania, gdy jednak strażnik zażądał przyniesienia mu trzech lisów, włościanin odmówił. Wówczas Poturajew opornemu włościaninowi odebrał broń i wykreślił go z listy osób, mających prawo za półpaskiem przechodzić po za kordon do Galicyi. Śledztwo sądowe w zupełności ustaliło winę podsądnego. Sąd, za ten i inne karygodne czyny, wydał wyrok, skazujący Poturajewa na rok rot aresztanckich, z pozbawieniem niektórych praw.

Odebranie broni. „Głos Warsz." donosi, co następuje: Kilku myśliwych z Zagłębia wybrało się na polowanie w okolice Myszkowa. Gdy wysiedli na tej stacyi, spotkała ich niespodzianka. W bufecie klasy 2-ej trzej strażnicy zażądali od nich okazania pozwolenia na broń, a gdy myśliwi żądanie to spełnili, strażnicy odebrali im broń i pozwolenie, motywując to rozporządzeniem naczelnika straży ziemskiej. Jeden z poszkodowanych, podejrzewając tu jakąś mistyfikacyę, zwrócił się do strażników o okazanie legitymacyi. Strażnicy ich nie mieli,

ale broń była już w ich rękach i zwrócić jej nie chcieli. Myśliwi zamierzali udać się o pomoc do żandarma stacyjnego, nie mogli go jednak na stacyi nigdzie znaleźć.

Wypadek z bronią. W majątku Skulska Wieś, w pow. słupeckim, robotnik Władysław Siwczak, zaszedł do kuchni właściciela majątku, p. Kluczyńskiego. W tym czasie p. W. Siwczak, widząc postawioną w kącie strzelbę, począł ją oglądać i spowodował wystrzał przypadkowy. Cały ładunek utkwił w głowie Stanisławy Kluczyńskiej. Śmierc była momentalna.

Wilki. W okolicach Orszy — jak pisze „Kur. Lit."— są wielkie lasy, w których do niedawna znajdowały się niedźwiedzie i dziki. Obecnie gnieżdżą się w nich wilki. Właściciel tych lasów, hr. N., zapalony myśliwy, chcąc zgromadzić większą ilość wilków w swych lasach, kazał leśnikom karmić ich padliną. Leśnicy skupywali stare konie, bili je, zdejmowali z nich skóry, pozostawiając mięso w lesie. Wilków nazbierało się tym sposobem mnóstwo, poczem urządzono obławę na nie, która się jednak nie udała, gdyż zabito tylko parę młodych. Po tem polowaniu wilki zaprzestano karmić, a te zaczęły wyrzadzać ogromne szkody okolicznym włościanom, porywając im bydło i konie. Gdy na prośbę poszkodowanych włościan o pozwolenie strzelania wilków w lesie, hrabia nie zgodził się, a zapowiedziana powtórna obława do skutku nie dochodziła, włościanie zwrócili się do gubernatora, który polecił władzom gminnym zorganizować obławę, podczas której włościanie zabili 15 sztuk. Pomimo to pozostało jeszcze w lesie niemało szkodników.

Karygodny zabobon. Do wileńskiego konsystorza rzymsko-katolickiego nadesłano od sędziego śledczego 2-go rewiru pow. sokolskiego, w gub. grodzieńskiej zapytanie, czy krzyże przydrożne uważać należy za poświęcane? Zapytanie to wynikło z powodu następującego wypadku: Dnia 24-go czerwca r. b. leśniczy, Nil Toforow, w celu pomyślnego polowania, wystrzelił do krzyża, przytwierdzonego do sosny w skarbowym lesie sokólskim, trafiając w figurę Chrystusa. Istnieje tam bowiem bezbożny zabobon, że gdy przed polowaniem trafi się w obraz lub figurę świętą, wtedy żaden strzał nie chybi. Z powodu tej profanacyi sędzia śledczy pociągnął Toforowa do odpowiedzialności sądowej z mocy p. 2 art. i cz. 2 art. 73 ust. karnej.

Pies powodem śmierci myśliwego. Z Olhopola donoszą, że w poblizkim lesie podczas polowania wystrzałem z dubeltówki zabity został 17-letni S. Tomaszewski i zraniony w rękę sekretarz 3-go zarządu akcyzy cukrowni, Zińkowski. Okazało się, że sprawcą śmierci jednego i pokaleczenia drugiego myśliwego był pies, który przewrócił dubeltówkę, opartą o bryczkę i sprowadził ów wystrzał. P. Zińkowskiego umieszczono w szpitalu ziemskim.

Psy w policyi. W Petersburgu — jak dowiaduje się „Now. Wr." — zamierzono utworzyć zakład do tresowania i hodowli psów, przystosowanych do służby policyjnej, następnie zaś pokryć całe państwo siecią podobnych zakładów w celu zapoznania społeczeństwa z nowymi sposobami zwalczania zbrodni za pomocą psów-policyantów. Prócz tego utworzone w tym celu T-stwo, do którego należą naczelne władze policyjne w państwie, postanowiło wytworzyć specyalną rasę psów-stróżów dla właścicieli nieruchomości. Towarzystwo to urządza, jak już wiadomo, w Petersburgu konkurs psów-policyantów, na którym rozdanych będzie 12 nagród, między innemi dwie od redakcyi dziennika „Wiestnik Policyi". Pozatem rozdane będą nagrody pieniężne od 30—50 rb.

Szczątki mamuta. We wsi Pustowojtach, powiatu kaniowskiego, znaleziono dwa zęby mamuta. Waga każdego zęba wynosi około 20 funtów. Zęby będą złożone w uniwersytecie kijowskim.

Wypadek na polowaniu. Obywatel Seiffert w Szarce pod Babimostem, w Poznańskiem, w tych dniach na stanowisku zastrzelił wskutek nieostrożności, handlarza Redlicha, który bawił u niego. Nabój ugodził R. prosto w głowę, tak, że padł trupem na miejscu. Niefortunny strzelec zgłosił się sam do komisarza.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Wilk.

Nie porwie pies tego, co wilk puści.
Nie pu zczaj wilków z dołu.
Nie urodzi wilk sokoła.
Nie ustraszy wilka lisem.
Nie wierz wilkowi, choć zabity.
Nie wilk, nie kozieł.
Nie wilkowi jagnię, choć go wielce pragnie.
Nie wołaj wilka z lasu.
Nie wpuszczaj wilka do owczarni.
Nie wszystko szare jest wilkiem.
Nie wyciągaj wilka z dziury, bo jak go wyciągniesz, to go już nazad nie wrazisz.
Nie wylęgnie wilk zająca, ale wilka; nie urodzi sowa sokoła, ale sowę.
Nie za to wilka biją, że szary, lecz za to, że owcę zjadł.
Nim pastuch się skwapi, wilk cielę załapi.
Nosi wilk, ale poniosą i wilka.
Odjął wilkowi owce, a sam je pojadł.
O wilku gadka, a wilk w sieci.
O wilku mówią, a wilk przede drzwiami.
Póki świat światem, wilk owcy nigdy nie będzie bratem.
Próżna obrona, gdy wilk owce pobrał.
Siedm lat, jak wilk gęś zjadł, a jeszcze mu gęga.
Straszne wilki za górami.
Strzelać wilki makiem, łowić ryby przetakiem.
Tak długo o wilku gadano, aż go z lasa wywołano.
Trudno dla wilka nie wygnać bydła do boru.
Trudno sadzać wilka na barana.
Trudno wilkiem orać.
Uchodząc przed wilkiem, trafił na niedzwiedzia.
Urosną wilczkowi zęby.
Weźmie się wilk do człowieka, jak mu w lesie głód dopieka.
Wilcy go zjedli.
Wilcza choroba. Wilcza pokora. Wilcze prawo. Wilczy apetyt.
Wilka do obory wpuścić.
Wilka nogi karmią
Wilka spotkać, szczęście, kiedy nie ukąsi, a zająca — nieszczęście, kiedy się nie uszczuje.
Wilka szuka, a ślad jego ujrzawszy, myka
Wilka w pług, a on do dyabła w ług.
Wilka za uszy trzyma.
Wilk bieży, wilk tyje; wilk leży, wilk gnije.
Wilk chowany, przyjaciel jednany — niepewny.
Wilk, gdzie ukąsić nie może, tam ozinie (oczaruje wzrokiem)
Wilk go ozionął.
Wilk i cielę — teraźniejsi przyjaciele.
Wilkiem nie orać.
Wilk i złodziej po nocy wędruje.
Wilk mu za uchem wędruje.

(C. d. n.)

Treść Nr. 23 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Admistracyi **„Łowca Polskiego“** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

Do naszych Prenumeratorów.

Do niniejszego № „Łowca Polskiego“ dołączamy blankiety przekazów pocztowych dla naszych prenumeratorów prowincyonalnych z prośbą o jaknajśpieszniejsze odnowienie prenumeraty na rok następny.

Zalegających z wniesieniem prenumeraty, prosimy uprzejmie o bezzwłoczne nadesłanie należności z powodu kończącego się roku.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk **„Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.**